

## Polacy w Norwegii – fragmenty wspomnień

Opracowali:

Lidia Kowarsch (Archiwum Państwowe w Krakowie)

Jakub Gałęziowski (Polskie Towarzystwo Historii Mówionej)

Jednym z etapów realizacji projektu mającego na celu dokumentację obecności Polaków w Norwegii były rozmowy z reemigrantami oraz osobami, które w jakikolwiek inny sposób miały okazję zetknąć się z mieszkańcami i kulturą tegoż kraju. Wśród nich są uchodźcy polityczni, emigranci ekonomiczni z lat 80. i wszyscy ci, którym dzięki zaproszeniom udało się wyjechać na tzw. Zachód. Kolejną – jednocześnie największą – grupę stanowią Polacy, którzy wyjeżdżali od lat 90. do tzw. pracy sezonowej czy to „w truskawkach”, czy gdzieś na budowie. Ale są także pojedyncze przykłady związane z innymi formami obecności czy związków z Norwegią, m.in. pobyt na stypendium, polsko-norweskie małżeństwo, czy wreszcie praca w zawodzie, ale na lepszych warunkach niż w kraju.

Grono osób zaproszonych do uczestnictwa w projekcie jest zatem silnie zróżnicowane tak pod względem wieku, jak i wykształcenia bądź celów wyjazdu. Nie zastosowano bowiem żadnych dodatkowych kryteriów doboru respondentów. Jediną wspólną im cechą jest fakt okresowego – dłuższego lub krótszego – zamieszkiwania na terenie Norwegii ich samych lub bliskich im osób. Tak szeroki dobór rozmówców to konsekwencja trudności, na jakie napotkano próbując dotrzeć do Polaków mających za sobą norweskie doświadczenia. Problemem okazało się nie tylko znalezienie, ale często zachęcenie niektórych z nich do wzięcia udziału w projekcie. Nierzadko użyteczne stały się rekomendacje rozmówców, którzy pomogli w dotarciu do kolejnych emigrantów i ich rodzin<sup>1</sup>.

Rozmowy z respondentami prowadzone były na zasadach wywiadu swobodnego. Jest to technika mająca charakter luźnego dialogu, gdzie zadaniem prowadzącego jest nadawać rozmowie

---

<sup>1</sup> Taki sposób doboru próby badawczej nazywany jest w naukach społecznych metodą kuli śnieżnej.

kierunek oraz kłaść szczególny nacisk na rozwinięcie określonych tematów i problemów<sup>2</sup>. Zakres pytań był bardzo szeroki: począwszy od motywów wyjazdu, pierwszych doświadczeń wynikających z kontaktu z odmienną rzeczywistością, poprzez wypracowanie mechanizmów funkcjonowania w nowym otoczeniu, opinie i poglądy na temat miejscowej ludności, jej obyczajów, zasad organizacji państwa, do relacji o zwykłej, szarej codzienności Polaka w Norwegii. Rozmówcy o swoich przeżyciach opowiadali chętnie i otwarcie, choć nie zawsze chcieli poruszać wszystkie tematy.

Należy podkreślić, że zastosowany sposób doboru informatorów poddaje w wątpliwość reprezentatywność grupy badanej. W związku z powyższym analizując zebrany materiał należy zachować ostrożność przy wyciąganiu wniosków, które miałyby posłużyć całościowemu opisowi polskiej emigracji do Norwegii. Poznając historię każdej z osób z pewnością będzie można odnaleźć pewne prawidłowości, powtarzające się opinie czy doświadczenia. Niemniej jednak należy mieć świadomość, że dane te charakteryzują tylko pewien wycinek złożonego zjawiska. Z tej też przyczyny zaniechano jakiegokolwiek interpretacji, a materiał jest zaprezentowany w formie tematycznie ułożonych fragmentów wypowiedzi naszych rozmówców<sup>3</sup>. Nie opisują one dokładnie charakteru emigracji polskiej do Norwegii, są raczej wielogłosem różnych, indywidualnych doświadczeń i przemyśleń wynikających z zetknięcia się z inną kulturą, organizacją życia społecznego i warunkami bytowymi.

Na końcu przedstawione zostały również portrety wszystkich rozmówców, którzy wzięli udział w projekcie i podzielili się swoimi wspomnieniami.

### **Przed wyjazdem – motywacje, decyzja, załatwianie formalności**

---

<sup>2</sup> Zob. E. Babbie, *Badania społeczne w praktyce*, Warszawa 2003, s. 327.

<sup>3</sup> Prezentowane w niniejszej publikacji fragmenty wywiadów zostały odpowiednio zredagowane. Zabieg ten jest konsekwencją trudności związanych z adaptacją języka mówionego, tzw. potocznego do standardów języka pisanego. Sens wypowiedzi rozmówców zachowano. Wszystkie wywiady zarchiwizowane zostały w Archiwum Państwowym w Krakowie oraz Opplandsarkivet avdeling Maihaugen w Lillehammer.

*Ten system mnie nie bawił. Tu było dla mnie trochę naciskowo. Tak, że postanowiłem uciec z tego systemu. I uciekliśmy. Była nas trójka, koledzy z jednej klasy. Tak my postanowili i zima, przed Świątami w 70 roku, uciekliśmy. No i na szczęście znaleźliśmy się w Austrii, musieliśmy przeskakiwać kilka drutów kolczastych i alarmowych. Mielśmy pościg za nami, ale ja nie wiem, to było szczęście albo przeznaczenie, żeśmy przeszli. I w lagrze my się zagospodarzyli. Byłem tam cztery miesiące. Z lagru uchodźców można było w różne strony jechać. Tylko trzeba było mieć wizę po prostu. Ja się zgłosiłem do Stanów Zjednoczonych. To znaczy wpierv chciałem do Kanady, ale tam odrzucili mi. Do Stanów wizę mi dali, z tym że oni wtedy kontynuowali wojnę w Wietnamie i mnie to już nie pociągało. Byłem młody, mogli mnie zwerbować albo coś. A poza tym słyszałem, że Amerykanie nie mają takich warunków socjalnych. Trochę byłem za młody, chciałem coś skończyć, jakąś szkołę. I w międzyczasie Skandynawia co roku przyjeżdżała i brała paru emigrantów. I ja zapisałem się na norweską komisję. Przestuchanie zrobili ze mną. No i ciekawe to, że jak tam przestuchiwali ze sto osób w tym lagrze, to wybrali dziesięć osób. I pytali mnie, dlaczego ja chcę jechać do Norwegii, czy znam Norwegię – „A pennie, że znam”. Znałem z geografii, że mają dorsze, że naftę odkryli i Holmenkollen. Tak, że się trochę pośmiali z tego. Przyjęli mnie i po dwóch tygodniach ruszyłem w Norwegię samolocikiem i wylądowałem na Fornebu, to był 27 kwietnia [71 roku]. [Andrzej Dziubek ps. Andrej Nebb]*

*Natomiast w międzyczasie [po wyjściu z internowania – JG] sytuacja moja przede wszystkim rodzinna, ale nie ukrywam, że również ekonomiczna i pewne przykrości ze strony Służby Bezpieczeństwa sprawiły, że postanowiłem skorzystać z tej furtki, którą cynicznie tworzył pan gen. Jaruzelski, z możliwości wyjazdu takich ludzi jak ja, za granicę. Ja wtedy byłem w sytuacji, jak już wspominałem, bardzo trudnej ekonomicznie, mimo pewnej pomocy Kościoła czy paczek z zagranicy, to i tak było to bardzo trudne. Zostałem wyrzucony z mieszkania, bo byłem niezameldowany. Nigdzie nie mogłem dostać pracy. Gdzieś pracowałem pod lipnym nazwiskiem, jakieś tam kursy, korepetycje.*

*Tak, że złożyłem podanie do Norwegii o wyjazd, choć w papierach ubeckich, jak widziałem, zostało, że do Francji, bo rzeczywiście najpierv napisałem, że do Francji i jakoś tak zostało, chociaż nie było to zgodne z faktami.*

Dlaczego do Norwegii? Otóż nie ukrywam, że jednym z argumentów było to, że miałem pewne zaufanie do systemu, nazwijmy to, społecznego czy ekonomicznego krajów skandynawskich, gdzie w mojej sytuacji z czwórką małych dzieci wiedziałem, że nie zostanę na lodzie, że przynajmniej na początku mogę liczyć na pewne wsparcie, opiekę czy otwarcie jakichś możliwości: przynajmniej uczenia się języka, kursów, zdobycia pracy czy dachu nad głową. Nie chciałem wyjeżdżać za ocean, ponieważ uważałem, że dla mnie to jak „pół śmierci”, ze względów rodzinnych. Tutaj miałem przecież nadal rodziców, do dziś zresztą żyjących we Wrocławiu, a poza tym miałem takie poczucie, może nie zdrady..., ale że wyjeżdżam z pewnym długiem wobec kolegów, którzy albo siedzieli w więzieniu, albo byli ciągle w „podziemiu”, działali.

Tak, że w 83 roku w sierpniu złożyłem papiery do Ambasady Norweskiej. Zostałem tam bardzo gruntownie przesłuchany. Dowiedziałem się, że jest pewna pula, że oni mają 200 miejsc dla uchodźców, tzw. kwotę, którą przeznaczyci na Polskę. Byłem pytaniami zdziwiony. Wielki zachwyt wzbudziło to, że byłem w „Solidarności” od samego początku, jakby to był wielki wyczyn. To zrobiło na nich wrażenie czy ściśle mówiąc na pani sekretarz ambasady, która mnie przesłuchiwała, choć może „przesłuchiwała” to nie jest najwłaściwsze tutaj słowo, z angielska powiem, że to było interview.

W każdym razie, gdzieś w okolicach chyba kwietnia, maja otrzymałem pozytywną odpowiedź. Ustalony został termin wyjazdu: 4 czerwca 84 roku. I tak znalazłem się w Norwegii. O ile wiem, sama podróż samolotem została sfinansowana poprzez Urząd Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców w Szwajcarii. Na koniec, jeszcze na Okęciu, zafundowano nam, a zwłaszcza mojej żonie, różne nieprzyjemne historie, w formie osobistych rewizji, żeby na pożegnanie mieć miłe wspomnienia... [Aleksander Gleichgewicht]

Do Norwegii wyjechałem w 84 roku. To była dosyć prozaiczna historia, czyli spotkałem Norweżkę, która studiowała tutaj, na Akademii Sztuk Pięknych. No i w 84 roku została moją żoną i wtedy wyjechałem. Ale zanim wyjechałem, to już miałem prawie 30 lat. Byłem tutaj

zaangażowany w „Studencki Komitet Solidarności”, a później w „Solidarność”. Później w stanie wojennych się ukrywałem. Z wykształcenia byłem ekonomistą, acz w zawodzie pracowałem raptem raz i to było w okresie pierwszej „Solidarności”.

*Z pewnej strony była to wygodna pozycja. Nie byłem ani typowym emigrantem, ani typowym uchodźcą politycznym, ponieważ w życiu nie chciałem emigrować z powodów politycznych. I nie chciałem też wyjeżdżać na stałe. Więc ten wyjazd, za żoną, nazwijmy go tak, był spowodowany kwestiami rodzinnymi. Natomiast w punkcie wyjścia to nie było dla mnie tak, że ja chciałem tam zostać. Ja chciałem raczej zobaczyć, jak wygląda Zachód. [Józef Baran]*

*Jak trafiłem do Norwegii? W istocie to był przypadek wynikły stąd, że w 80. latach kolegowałem się z Hindusem, filozofem marksistowskim z Indii, który pewnego lata był na Szkole Letniej Uniwersytetu w Oslo. On, znając moją sytuację człowieka bezpaszportowego, represjonowanego, spytał mnie, czy bym tam nie zaaplikował, a nuż mnie zaproszą i dla władz będzie to miało znaczenie, że mi wydadzą paszport. No i muszę powiedzieć, że musiałem zastosować zasadę „do trzech razy sztuka”, bo w dwóch kolejnych latach dostawałem zaproszenie, ale nie dostawałem paszportu. Za trzecim razem w końcu dostałem. Ponieważ byłem już akurat w tym momencie bezrobotny i właściwie bez środków do życia w Polsce, to od razu pierwsze skojarzenie było, że może by tam zostać troszkę dłużej, ale nie sądziłem, że to się przeciągnie aż do trzech lat. [Michał Siciński]*

*To były początki lat 80., kiedy studiowałem na uniwersytecie w Gdańsku. Czasy były takie, że było siermiężnie. Człowiek zdał sobie sprawę, że po skończeniu studiów pedagogicznych nie osiągnie zbyt wiele w tym kraju, więc postanowiłem wyjechać za granicę i tam popracować troszeczkę, zarobić troszkę pieniędzy i jakoś sobie życie poprawić.*

*Wysyłałiśmy pisma po niemiecku, po angielsku – zależy, co kto umiał, z prośbą o wysłanie zaproszenia z uniwersytetu zagranicznego, po to tylko, żeby dostać paszport. Wysyłałem listy do Niemiec. Dostałem odpowiedzi z uniwersytetów różnych, ale nie dostałem paszportu ze względu na to, że RFN, Berlin Zachodni i Ameryka wymagały specjalnych zezwoleń Ministerstwa Spraw Zagranicznych na otrzymanie paszportu jakiegos tam pół-*

*slużbowego. Otrzymywałem zaproszenia i z tymi zaproszeniami szedłem do komórki kontaktów z zagranicą. Tam zaproszenie się składało i na podstawie tego zaproszenia otrzymywało się paszport. Paszport jakiś taki pół-służbowy. Były stemple takie na wsje strony mira i obok tego stempla była [litera – LK] „S”.*

Z RFN-em mi nie wyszło, więc kierunek się zmienił na północny i dostałem zaproszenie z uniwersytetu w Trondheim. Pisałem, że byłem studentem pedagogiki, że się interesuję pedagogiką skandynawską, takie rzeczy. Może i mnie to interesowało, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie chodziło o to, żeby dostać paszport. Dostałem, wyjechałem. Na wyjazd, składała się cała rodzina, zebrano dwieście dolarów. To było dużo jak na ówczesne czasy. [Edward Grzybowski]

Do Norwegii trafiłam w ten sposób, że z mężem mieliśmy wtedy małe dziecko, jeszcze byliśmy w połowie studiów i mąż stwierdził, że musimy gdzieś zarobić na życie, a nie obciążać rodziców, żeby nam pomagali. Że musimy próbować być samowystarczalni. I dowiedzieliśmy się od kolegi męża, który studiował fizykę, kolegi z roku, że on był w Norwegii i że bardzo łatwo jest w truskawkach znaleźć pracę i że on nam da kontakt, tam gdzie był i pojedziemy na pewną pracę do zaklepanego miejsca. Myśmy się zaczęli przygotowywać do tego wyjazdu, wszelkie przygotowania formalne i nieformalne. I przed samym wyjazdem okazało się, że tego kontaktu nie ma i musimy jechać na ryzyko zupełne. Ja zaczęłam się zastanawiać, czy to ma sens, a Andrzej, mój mąż, powiedział, że jedziemy, bo kto nie ryzykuje, ten nic nie osiąga. [Iwona Stasz]

Mój pobyt w Norwegii był związany z moim zawodem tancerza. I Norwegia może inaczej niż w przypadku wielu ludzi, gdzie to jest raczej wybór konkretny, ona nie była takim wyborem. Zawód tancerza jest zawodem mobilnym, ponieważ ta kariera jest krótka, a zawód jest taki, że umożliwia wykonywanie pracy w różnych krajach bez znajomości języka, ponieważ język ciała jest międzynarodowy. I ja w pewnym momencie swojego życia doszedłem do wniosku, że chciałbym spróbować poszukać sobie nowego miejsca do tańczenia, bo tańczyłem tutaj w

Teatrze Wielkim. Do tego wniosku doszedłem razem z moim przyjacielem i razem postanowiliśmy poszukać sobie gdzieś nowego miejsca pracy. A ponieważ tak się stało, że z kolei jego przyjaciel pracował od dłuższego czasu w Norweskim Baletcie Narodowym, w związku z tym postanowiliśmy, że pojedziemy do Norwegii. [Karol Urbański]

Był taki moment w moim życiu, kiedy bardzo chciałem pojechać do Północnej Europy, zobaczyć zwłaszcza Norwegię. Słyszałem od innych ludzi, że Norwegia jest wspaniałym krajem, który zdumiewa swoją przyrodą i gdzie żyją bardzo przyjaźni ludzie. Nadarzyła się taka okazja właśnie w roku 87, że poznałem pewne osoby w Krakowie, które zaprosiły mnie do Norwegii i postanowiłem tam pojechać, nie wiedząc jeszcze, że spędzę tam czas dłuższy.

Wziąłem urlop dziekański na studiach i gdy dojechałem do Norwegii, zastanawiałem się, co robić ze sobą. Postanowiłem, że zostanę tam dłuższy okres, ze względu na to, że kraj mnie zainteresował, język, kultura. Zapisalem się na uczelnię jako wolny słuchacz, uczyłem się języka norweskiego. No i tak się właśnie stało, że Norwegia mnie wciągnęła swoją magią. [Paweł Szkolut]

Myślę, że wyjazd do Norwegii był związany z tym, co się działo wcześniej. Jako, że jestem osobą ruchliwą, która nie umie usiedzieć na jednym miejscu zbyt długo, jeździłam, podróżowałam i Norwegia była też pewnym etapem mojej podróży gdzieś tam po Europie. Mówiąc szczerze, nigdy nie planowałam, nie myślałam o wyjeździe do Norwegii. Tym bardziej nie myślałam, że to będzie na jakiś dłuższy okres czasu. Mój ówczesny partner życiowy dostał kontrakt w Norwegii i stwierdziliśmy, że jest to świetna okazja, żeby poznać kolejny kraj, kolejną kulturę. Może nawet nauczyć się języka, może doświadczyć czegoś więcej, może po prostu poznać, poznać nowych przyjaciół. Stąd też zdecydowałam, że wyjadę razem z nim. [Agnieszka Nowak]

Przed wyjazdem do Norwegii, w zasadzie po studiach, rozpocząłem pracę jako geofizyk. Stosunkowo dużo podróżowałem, również za granicę, ponieważ firma, w której pracowałem i w zasadzie pracuję nadal, również prowadzi prace poszukiwawcze za ropą i gazem. Więc były to podróże do różnych krajów, takich jak Indie, Azerbejdżan. Firma Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo posiada koncesję na morzu norweskim. Te koncesje zostały zakupione kilka lat temu i firma była zobligowana do utworzenia spółki zależnej w Norwegii, która będzie się zajmowała działalnością poszukiwawczą i eksploatacyjną na szelfy norweskie. Stąd mój wyjazd do Norwegii. To nie było narzucone, to była moja decyzja. Otrzymałem taką propozycję, z której po prostu skorzystałem. Do Norwegii wyjechało z Polski siedem osób, siedmiu polskich pracowników. W tej chwili firma w Norwegii liczy już ponad dwadzieścia osób, jest to już firma międzynarodowa. [Janusz z Węgrzc k. Krakowa]

## **Podróż**

Stąd wyjeżdżało się do Świnoujścia. Przyjmijmy cztery godziny jazdy, potem osiem godzin promem, no to dwanaście i potem dwanaście tam się jechało. To była ciężka podróż, ale myśmy byli młodzi. Troje maluchem. Samochód załadowany jedzeniem, ze względu na ceny i tak jechaliśmy. Teraz to jest niewyobrażalne. Teraz ludzie we dwoje jadą samochodem i już jest ciasno. A myśmy w trójkę jechali maluchem, samochód załadowany konserwami, słoikami, wszystkim czym tylko można, bo jedzenia się brało na trzy miesiące, bo tyle można było tam siedzieć. [Edward Grzybowski]

Jeszcze miałem przygodę, bo tata miał 100 dolarów i dał mi. A komuniści żądali, że trzeba mieć wyciąg z banku, potwierdzenie, że się wiezie walutę. Co to były za pieniądze, te 100 dolarów! Wtedy to było dużo. I pamiętam, jak w Świnoujściu, gdzie miałem wsiadać na prom (Heweliusz, który zresztą zatonął kilka lat później), przy rewizji kontrolowali mi portfel i wzięli



mi te 100 dolarów. Przyczepili się do tego, że ja nie mam potwierdzenia z banku. I te jedyne pieniądze, jakie miałem, oni mi je skonfiskowali. Ja jechałem bez grosza przy duszy. Nie miałem nic, załamany byłem. A musiałem przecież w pociąg wsiąść z Istad, ze Szwecji dojechać do Oslo. Ale też, nie wiem... Ręka Boska czuwała, bo na promie poznałem takiego chłopaka i tak żeśmy się zgadali o opozycji i o wszystkim. I on mówi: „słuchaj, moja mamusia jest tu na azylu politycznym w Szwecji, przyjedzie po mnie, pogadamy, może ci pomoże”. No i faktycznie.

[Ryszard Majdzik]

A potem już autostopem przez Szwecję i Norwegię. Pamiętam, że był deszcz straszny, nocowaliśmy w namiocie i ja po prostu przeziębiam się. Ale dojechaliliśmy szczęśliwie do Oslo autostopem. I tam spotkaliśmy takiego Mirka. On też wybierał się szukać pracy, maluchem. I myśmy się sami wprosilili jemu, niemal na siłę, żeby nas zabrał. On coś tak trochę kręcił nosem na to, ale nie wypadło mu odmówić i wziął nas. I tak zaczęliśmy szukać razem pracy. I całe szczęście, żeśmy go spotkali, bo bardzo ciężko byłoby nam znaleźć pracę podróżując tylko autostopem. [Iwona Stasz]

### **Pierwsze wrażenia**

I dostaliśmy, ci emigranci, hotele i był czas na naukę języka. W hotelu mieliśmy warunki do spania, do przeżycia i wysłali nas na sześć tygodni na kurs języka norweskiego. To było pierwsze takie zetknięcie z Norwegią. Dostawaliśmy kieszonkowe oczywiście. No i była wolność tak zwana, mogli my robić, co chcemy. Mogli my nawet stamtąd wyjechać, jak nam się nie podoba.

[Andrzej Dziubek ps. Andrej Nebb]

To, co jest dla mnie pierwszym wrażeniem, to jest olbrzymi szok kulturowy, w 84 roku. W 84 roku, kiedy tu wszystko było w zapaści i panowała jeszcze siermiężna komuna, ja sobie

wyjeżdżam na jedno z większych lotnisk europejskich w Kopenhadze. I od pierwszego momentu widać tę zdecydowaną różnicę między tym, co tu było a tym, co tam zastawałem. To był ten jeden szok, nazwijmy to, cywilizacyjny.

A druga sprawa była związana z pewnym rytmem życia tam. Ten fakt, że ludzie są zajęci wyłącznie sobą, swoimi problemami. A tutaj [w Polsce – JG] działa się jakaś historia. To były w sumie jakieś takie dwa duże problemy dla mnie, w tym pierwszym okresie czasu. [Józef Baran]

Pierwsze wrażenie po przyjeździe na tzw. Zachód, to była czystość. Szwecja, jako kraj po rozglądnięciu się naokoło, okazała się krajem czystym i bez zapachu takiego... Nie wiem, jak to nazwać... Potem przy powrocie ten zapach polski wrócił. Nie wiem, czy to był wynik portu w Świnoujściu, ale ten zapach tak mi się kojarzy.

Pociąg wypełniony był różnymi ludźmi, ale też grupą Polaków. Taką cechą charakterystyczną obywatela PRL-u było to, że miał na sobie buty firmy Sofix. Mieliśmy zdaje się obaj takie same buty. Więc wszyscy Polacy mogli się bardzo łatwo rozpoznać.

Potem przyjazd do Oslo i taki szok cenowy – pierwsze spotkanie z wyprzedają. Pamiętam, były takie podkoszulki po 10 koron i wydawały mi się zabójczo drogie, a wracając stamtąd już miałem świadomość, że to była niezwykła okazja, że cena była rzeczywiście śmieszna, jeśli chodzi o osoby, które tam zarabiają na życie. [Krzysztof z Krakowa]

Byłem wtedy w posiadaniu Skody, którą wybrałem się w tą podróż. Tutaj wyjeżdżając musiałem tydzień paliwo organizować, żeby wyjechać, bo były czasy kartkowe, ale jakoś mi się udało. Zajechawszy do Norwegii na pierwszej stacji musiałem zatankować i zgłupiałem, bo zobaczyłem sześć dyspozytorów. I teraz który? Tylko kolorami się różniły. Wlałem środkowy. Okazało się później, jak dojechałem do celu, że to było paliwo bezołowiowe, ale jakoś pojechałem. [Wiesław Krzemiński]

Początki to był tak naprawdę szok klimatyczny, jak dla mnie. Wyjechałam na początku czerwca i pierwsze doświadczenia, które były z Norwegią związane, to białe noce. Było to absolutne zaskoczenie dla mnie, że wylatując koło dwudziestej pierwszej z Krakowa, przy zupełnej ciemności, lecąc w kierunku Północy, widziałam taki biały punkcik, który się zbliżał do mnie. Było to niesamowite wrażenie, bo co najmniej, jakby się przede mną nowa przestrzeń w niebie otwierała. Było to dosyć dziwne, aczkolwiek intrygujące. [Agnieszka Nowak]

To był całkiem inny świat niż tutaj. Była sobota, poszliśmy pierwszy raz na miasto. Byliśmy bardzo zdziwieni. Po pierwsze, nie było nigdzie żadnych ogrodzeń, nie było ludzi w domach. Domy były puste, samochody pod domami, kluczyki w samochodach. Ja wtedy jeszcze nie wiedziałem, że oni tak masowo w soboty wyjeżdżają sobie w góry na weekend. Dosłownie nam się to w głowach nie mieściło, że nikt nie pilnuje domu, nikt nie pilnuje samochodu, idealna cisza, idealny spokój, jakby nikogo nie było prawie. [Miroslaw z Chelma]

Ludzie żyją zupełnie inaczej, to jest takie moje pierwsze odczucie. Nigdzie się nie spieszą, na wszystko mają czas, wydaje mi się, że wszystko jest takie właśnie poukładane, uporządkowane. [Janusz z Węgrzc k. Krakowa]

## **Status**

Przed wszystkim byłem przypisany do pewnej gminy. Tam jest to kraj bardzo zdecentralizowany, gdzie również środki finansowe czy część podatku, która splywa na samorządy jest bardzo duża. W związku z tym państwo, czyli Rada Uchodźców przypisała mnie tej gminie. W związku z tym miałem prawo do nauki języka, do opieki społecznej, czyli zgodnie z ich normami na osobę. Kokosy to nie były, ale pozwalało przeżyć. Jednorazowo dostałem

pomoc na urządzenie się. W tamtym mieszkaniu nic nie było. Trzeba było kupić meble, pralkę, lodówkę, pościel itd.

Z reguły ta pomoc bez pytań i komentarzy trwała koło roku. Później się oczywiście troszkę zaczęli niepokoić. Niektórzy nasi rodacy byli mistrzami w przeciąganiu tego okresu, bo pewna demoralizacja komunistyczna tutaj też działała, że: „a jacy frajerzy, można by ich jeszcze pociągnąć”. Znam wiele takich przypadków, bardzo niesympatycznych i chwały nam nieprzynoszących, że przeciągali ten okres, nawet mając oferty zawodowe do lat dwóch czy nawet trzech.

Otrzymałem także tzw. Dokument Podróży (a oczywiście zdałem im swój paszport), który upoważniał mnie do podróżowania poza Norwegię – poza Polską, bo gdyby ktoś wjechał z czymś takim do Polski, to raz, że oni uważali, że nie czują się za kogoś takiego odpowiedzialni, poza tym byłoby to złamanie pewnej zasady, bo albo się jest tym uchodźcą, albo się nie jest. [Aleksander Gleichgewicht]

Nie chcę tego oceniać w kategoriach: błąd, nie błąd. Natomiast trzeba jasno powiedzieć: ja nie sięgnąłem po nic takiego, co się nazywa status uchodźcy politycznego, mimo takiej możliwości. Dzisiaj trzeba byłoby rozważyć, ale wtedy wydawało mi się, że to jest taki krok, w którym ja się deklaruje po prostu, że ja już na zawsze wyjeżdżam. Jak zostałem sam, to wydawało mi się, że ja nie chcę być tutaj [w Norwegii – JG] w takiej grupie, która już na zawsze wyjechała z Polski. I status uchodźcy politycznego to jest coś takiego, patrząc z tamtej perspektywy, jak deklarowanie się bycia wrogiem. A zarazem to jest bycie na pasku jakiegoś innego państwa. Bo jednak, owszem, przysługują rozmaite przywileje typu mieszkanie, pieniądze, przynajmniej przez jakiś okres czasu. Mnie się wydawało, że ja mam na tyle siły i ja tu się nie uznaję za kogoś takiego i podjąłem próbę bycia tam samemu, i poradzenia sobie z tymi wszystkimi problemami sam. I to można powiedzieć był wariant cięższy. [Józef Baran]

Chcieliśmy tam mieszkać. Ale co? Pójdziemy i powiemy milicjantowi, że my polityczni, czy jacyś tacy? Gdyby ktoś nam pomógł w jakiś sposób... Bo ten rolnik, to co on mógł nam pomóc?

Jaki ja tam byłem polityczny? Biegałem jak głupi po Brzeszczu. Na 3-go Maja się rzucano kamieniami w „zomowców” i w innych takich różnych, wszyscy to robili: młodzi, studenci, bo co mieli z nudów robić? To latali i walczyli z komuną. [Edward Grzybowski]

Mimo niejasności swojego statusu formalnego byłem cały czas na statusie turysty. Przekonałem się, że wbrew obawom i zdziwieniu wielu rodaków i nie tylko, władze norweskie wcale nie chcą się mnie pozbyć. A były to czasy, kiedy nie było oczywiste, że człowiek nie chcący azylu ani nie mający żadnych innych życiowych powodów, żeby gdzieś tak długo siedzieć...

Pierwszy raz mi wizę dali od razu, tyle że nierozsądnie wystąpiłem na dosyć krótki okres, bo nawet niecałe 3 miesiące. Potem, tylko nie pamiętam, czy od drugiego czy od trzeciego razu było tak, że kazali mi długo czekać na wizę, ale nie dawali odmowy. A dopóki nie dostałem odmowy, to byłem całkowicie legalnie i niczego się nie musiałem obawiać. Aż przyszedł czas, kiedy musiałem wystąpić o następną wizę, i o następną występowałem, zanim dostałem decyzję z poprzedniej i tak było przez około dwa lata. Widać było, że nie chcą mi zrobić krzywdy. Wszystkie papiery podatkowe od razu dostałem i numer mam tam jeszcze prawdopodobnie dzisiaj. [Michał Siciński]

Trudno powiedzieć, czy to w wyniku trudności językowych... Jakoś nigdy nie miałem chęci wyjechać poza Polskę i tam mieszkać. To nie była rzecz, nad którą się chociaż chwilę zastanawiałem. To była tylko sezonowa praca i powrót. [Krzysztof z Krakowa]

Ja dostałem stały kontrakt, a posiadanie stałego kontraktu w Norwegii oznacza to, że jeżeli się nie zrobi niczego głupiego potwornie, to do emerytury ma się pracę. Byłem tam osobą cenioną,

nawiązałem jakąś ilość kontaktów, ale w pewnym momencie sobie uświadomiłem, że jeżeli mam tak kursować pomiędzy teatrem a domem i specjalnie nie widziałem możliwości wchodzenia w jakieś inne sfery, to powiedziałem, że „nie”, że chcę wrócić do Polski, bo tutaj mogę zrobić więcej rzeczy, innych rzeczy i tu mogę narzekać. [Karol Urbański]

### **Działalność społeczna i inne zaangażowania**

Więc znalazłem się w Norwegii i po tej pierwszej aklimatyzacji bardzo szybko nawiązałem kontakty ze środowiskiem „Solidaritet Norge-Polen”, czyli „Solidarność Norwegia-Polska”. Przyjechałem trochę na gotowe. Tam już była bardzo mocna organizacja, której jedynym statutowym, i to było bardzo mądre, zadaniem było: wspieranie „Solidarności” w Polsce. I to bez żadnych warunków.

To, co ważne, była to organizacja, która powstała w okresie legalnej „Solidarności”, organizacja norweska, więc tym odróżniała się też od licznych organizacji wspierających „Solidarność” we Francji, w Niemczech, w Anglii, w Stanach. One bardzo często bazowały na tej nowej emigracji ze wszystkimi jej przywarami, które przywozła z Polski, a więc skłonność do jakichś tam swarów potępieńczych, awantur. W Norwegii było inaczej. Trzon stanowili Norwegowie, związkowcy, z jakimś doświadczeniem politycznym, świetnie zorientowani w lokalnych warunkach, którym my też byliśmy potrzebni, trochę jak kwiatek może do kozucha, ale dzięki nam mogli mieć kontakty w Polsce, usprawnić przemyty maszyny, pieniądze, książek itd. Tak, że świetna to była symbioza. Od nich też nauczyliśmy się bardzo szybko pewnego myślenia, pewnej pragmatyki politycznej, że jeżeli jest sprawa, która łączy, w tym wypadku niechęć do Związku Radzieckiego i parę rzeczy, które z tego wynikały, to nie musimy patrzeć na to, że oni są maoistami, czy lewakami, a my jesteśmy, czy część z nas chadekami, czy nawet narodowcami, jak niektórzy z moich kolegów. Tak, że tutaj muszę powiedzieć, takie jasne zasady współpracy

sprawdziły się do końca działalności tej organizacji, czy najpierw do jej rozpadu, a później zaniknięcia. [Aleksander Gleichgewicht]

Współpracowałem blisko z Norweskim Komitetem Helsińskim bardzo aktywnym, jeśli chodzi o prawa człowieka we wschodniej Europie. A ja tutaj [w Polsce – JG] też wcześniej byłem związany z Komitetem Helsińskim, kiedyś współpracowałem z Romaszewskimi jeśli chodzi o dokumentację represji w PRL, jeszcze przed „Solidarnością”, w ramach prac tzw. Biura Interwencyjnego KOR. Natomiast w stanie wojennym, to bardziej się rozwinęło w formie nielegalnego jeszcze Komitetu Helsińskiego. Tak, że naturalne dla mnie były te kontakty w Komitecie Helsińskim. Tam też trafiłem na osobę, która łączyła oba te środowiska, czyli środowisko „Solidarności Norwesko-Polskiej” i środowisko Komitetu Helsińskiego, czyli na osobę Bjorna Cato Funnemarka. On pracował w Komitecie Helsińskim, gdzie i ja się później zatrudniłem od 86 roku, jako sekretarz informacji, a jednocześnie był w różnych okresach przewodniczącym „Solidarności Norwesko-Polskiej” i de facto taką główną jej siłą napędową. [Aleksander Gleichgewicht]

To byłby jeden rodzaj działalności: polityczno-propagandowo-medialny skierowany głównie na Norwegów. Druga rzecz to akcje na kraj skierowane, typu: adopcja więźniów politycznych, co pozwalało propagować konkretny casus przez media. Dalej pomoc finansowa, tu już nieoficjalna zupełnie, gdzie przyjęliśmy taki klucz, że będziemy dzielić tę pomoc. Wtedy pensja czarnorynkowa w Polsce wynosiła ok. 20 dolarów, w związku z tym 100, 200, 300 dolarów dla kogoś w potrzebie, to były bardzo poważne pieniądze, które mu pozwalały pół roku czy rok jakoś tam przeżyć. Była akcja „więzień miesiąca” czy też adopcja, jak to nazywaliśmy, konkretnych więźniów przez konkretne środowiska, np. architekt siedział w więzieniu w Polsce i norwescy architekci, tzn. Związek Architektów organizował jakieś akcje solidarnościowe nakierowane zgodnie z zawodem, ze środowiskiem.

Oczywiście były też działania bardziej spektakularne, trzeba było pohalasować, pokrzyczeć pod ambasadą. No i również włączaliśmy się, często już we współpracy z organizacjami typu Caritas-Norge, w jakieś akcje charytatywne, czyli kwestie sprzętu dla niepełnosprawnych itd. Kościół był tutaj najlepszym partnerem. [Aleksander Gleichgewicht]

Trudno powiedzieć, że było to jakieś wielkie zaangażowanie. Pomogłem przy paru transportach, łącznie z wypisywaniem jakichś dokumentów, czy wyszukiwaniem miejsc, odbiorców w Polsce, gdzie można by to wysłać tak, żeby to trafiło konkretnie i nie zostało rozkradzione. To były tego typu rzeczy. A tam na miejscu no to mieliśmy takie pisemko „Kronika”, do którego pisywałem czasem. Środowiskowo to organizowanie jakichś zabaw dla środowisk polskich, połączonych ze zbiórkami na różne cele tutaj. Z takiego bodaj największego zaangażowania stamtąd tu, to mogę powiedzieć o zbiórce na rzecz fundacji w Radwanowicach. Ale to już była innego typu działalność. Jeżeli chodzi o fundację w Radwanowicach to głównie była zbiórka pieniędzy na rzecz fundacji, w tym pierwszym okresie, kiedy fundacja dopiero powstawała i powstawały pierwsze budynki. [Józef Baran]

## **Praca**

Byłem przekonany, że wyjeżdżam na zawsze. Że to nie jest tylko zapis w paszporcie, że tak już będzie, że ja nigdy do Polski nie przyjadę. Ale ciągle byłem głową tutaj. W moim wypadku miało może to też i złe konsekwencje, ponieważ, jak wyjeżdżałem, miałem 31 lat, ale uważałem się za człowieka bardzo już starego, że gdzieś tam jakieś studia itd. Poza tym mając tak liczną rodzinę starałem się jakieś pieniądze zarabiać. Nigdy jednak nie byłem nastawiony na jakąś karierę. Ja kończyłem fizykę atmosfery, więc w Norwegii miałem praktykę ośmiomiesięczną w Państwowym Nadzorze Środowiska, jakieś nawet raporty tam napisałem i miałem ofertę pracy tam, na początek pół etatu, czyli w poważnej państwowej, sensownej instytucji. Ale wybrałem pracę gorzej płatną w Komitecie Helsińskim, z niepewnym jutrem, no bo tam mogłem też być



bliżej Polski i coś robić – ten dług, o którym mówiłem, wobec kolegów, może już niesiedzących, bo w międzyczasie wyszli, spłacać. [Aleksander Gleichgewicht]

Ja tego nie pamiętam inaczej, jak tylko trudności. Niewiele się udawało. O tym, żeby przyjęto prawo jazdy, nie było w ogóle mowy. Trzeba było wszystko od nowa. O tym, żeby uznano studia całe, też nie było mowy. Dopiero zaledwie po latach doprowadziłem do częściowego uznania studiów, bądź też, jak oni to określili: oceny, czy weryfikacji moich studiów. I taka ocena mogła być ewentualnie przedstawiana w firmach. Zupełnie w związku z tym nie udawało się podjęcie jakiegś innej pracy poza zwykłymi pracami. Szanse na pracę w zawodzie były niewielkie. To znaczy długo próbowałem, długo też miałem złudzenia, że pewne rzeczy pokonam. Zupełnie się nie orientowałem w tym społeczeństwie. Wydawało mi się, że te bariery są do przeskoczenia, tylko się nauczysz języka i tylko coś tam, to przeskoczysz to. Po czym się okazywało, że pokonuje się pewne przeszkody i jednak w dalszym ciągu to nie działa. Więc w związku z tym uczyłem się języka, uczyłem się języków nawet, bo wtedy w Polsce się nawet po angielsku nie mówiło, więc wszystkie te zaległości nadrabiałem. No dodatkowo, ponieważ miałem rodzinę, trzeba było próbować zarabiać pieniądze, więc zaczynałem od najprostszych prac, czyli od sprzątania, jakichś takich prac, jak na przykład praca w domu starców, bo później taką pracę podjąłem. Na tych pozycjach raczej jest się akceptowanym, jako dobry pracownik. W momencie, kiedy człowiek się zorientuje i zgodzi na to bycie obywatelem drugiej kategorii, to zaczyna to w jakiś sposób biegać.

[Józef Baran]

Jeździliśmy wokół jeziora Miosa i pytaliśmy o pracę, aż w końcu udało nam się dotrzeć do takiego pięknego miejsca nad jeziorem, gdzie stał stary osiemnastowieczny dom, potężny, z którego było pięknie widać jezioro i gospodarze okazali się bardzo mili, a przy okazji właściciel, czy syn starszych państwa zabierał się za malowanie i znalazł [w nas – JG] takich młodych ludzi, którzy byli chętni do roboty i nam tę pracę zlecił. I dostawaliśmy 70 koron za godzinę pracy.

Zabraliśmy się do pracy solidnie na takiej drabinie wysokiej, że strach, człowiek się bał, że spadnie, ale zasuwaliliśmy. Gospodarzom bardzo się nasza praca podobała, że solidnie pracujemy. Przez tydzień, po 10–11 godzin, pracowaliśmy na tej drabinie. Wymalowaliśmy pięknie dom i dzięki temu polecili nas do państwa Hagenów, w Bøverbru, k. Gjøvik, do pracy w truskawkach. Trafiliśmy akurat na najlepszy moment, kiedy był wysyp. [Andrzej Stasz]

Na zbiorach truskawek byliśmy w gronie Polaków. Niektórzy są naprawdę fantastyczni w tej pracy, nieosiągalni. Była kobieta, która pracowała od lat i jako jedyna mogła zbierać truskawki w rękawiczkach, ponieważ nie można tego robić, bo gniecie się wtedy owoce. Nazywaliśmy ją „szybka rękawiczka”, ponieważ potrafiła tak szybko zrywać truskawki. Tam, gdzie nie było truskawek w ogóle, zbieraliśmy dziesięć kilo truskawek przez cały dzień, a ona potrafiła z osiemdziesiąt. Po prostu nikt nie wiedział, jak ona to robi, cudowne rozmnożenie. [Barbara z Krakowa]

Pamiętam rodzaje tych truskawek. Była *senga*, to taka najdrobniejsza truskawka i najgorzej się ją zbierało. Ale był *corona* na przykład – takie wielkie truskawki i jeszcze były... to mąż będzie lepiej pamiętał te gatunki. Wymagający byli państwo Hagenowie, co do zbioru truskawek. Nie przyjmowali jakichś zgniłych, sprawdzali przy wadze, czy nie są zgniecione, wyrzucali takie i ochrzaniali ostro ludzi. A powiem szczerze, że ja różnie pracowałam. Na początku nie najlepiej, ale powiem, że dostaliśmy – to jest takie miłe, ja mam do dzisiaj ten podkoszulek – dostaliśmy z mężem po podkoszulku – białe podkoszulki z truskawkami. Każde z nas dostało i z jakimś napisem norweskim, w nagrodę za dobrą pracę. I ja mam ten podkoszulek, mimo że jest trochę sprany, na pamiątkę sobie go trzymam. [Iwona Stasz]

Pojechałem wtedy z synem. Astri [córka zaprzyjaźnionej gospodyni] już dla nas wtedy przygotowała front robót, żeby drzwi pomalować, żeby to, żeby tamto, żeby odrestaurować stare

metalowe różne rzeczy, nawet maszynę Singera. Ja jej powiedziałem, że w Polsce robię takie rzeczy, że umiem, to ona się bardzo ucieszyła. Przywiozła nam farby i dużo rzeczy wtedy zrobiliśmy. Zaprosiła nas znowu, żebyśmy przyjechali za rok.

Za rok jak pojechaliśmy, umówiliśmy się już w innej miejscowości. Cała rodzina miała domek w górach, który trzeba było wymalować im i mnóstwo innych rzeczy porobić. Domek był ładny, wysoko w górach, prawie na samych szczytach gdzieś tam, no i tam też popracowaliśmy ze dwa tygodnie, pomalowaliśmy, porobiliśmy, co Astri dla nas przygotowała. Przygotowała też i dla sąsiadów znajomych, u jednych, u drugich, u trzecich malowanie domków. Takie różne prace, tak że mieliśmy front robót chyba przez miesiąc czasu. I syn jak wrócił do Polski miał trochę pieniędzy odłożonych i był bardzo zadowolony. Widział, że ludzie są bardzo życzliwi, że zarobić można, widoki są piękne, spokój, cisza. Był bardzo zadowolony. Mi się to też bardzo podobało. I tak prawie z roku na rok jeździliśmy. [Miroslaw z Chelma]

Ja byłem z firmy izolacyjnej, izolowaliśmy masę rurociągów i takich różnych urządzeń. Na tej wyspie [Melkøya w pobliżu miasteczka Hammerfest] Norwegowie wybudowali taką instalację do skraplania gazu, który wydobywali tam z oddalonego od tej wyspy, nie wiem ile, złoża, które się nazywało snøhvit, podobno to się tłumaczy „królewna śnieżka”.

Na tej wyspie bezpieczeństwo było najważniejsze. Najpierw bezpieczeństwo, porządek, a później praca. Taka kolejność. To było dosyć duże przedsięwzięcie. Tam pracowało sporo ludzi i za to, że nie było żadnych wypadków, wszyscy pracownicy byli nagradzani bonusem. Żeby zwracać uwagę na bezpieczeństwo, pracownik był zobowiązany [do pisania] raportów o wydarzeniach potencjalnie niebezpiecznych i co jakiś czas te raporty były losowane i były zupełnie przyzwoite nagrody. Nie było tam jakiegoś tempa. Po prostu trzeba było sobie pracować w swoim tempie. Oczywiście nie obijać się, bo obserwowano dyskretnie. Jeżeli ktoś nie odpowiadał temu pracodawcy, to po prostu nie był później zaproszony do pracy. [Wojciech z Tarnowa]

My mieliśmy też taką fajną rzecz w teatrze, kiedy ja tam byłem, dyrektorką była Dunka, Dina Bjorn. I ponieważ balet nie ma długiej tradycji w Norwegii, nie jest sztuką bardzo popularną, w związku z tym, ona w każdym sezonie organizowała takie dwutygodniowe wyjazdy w głąb Norwegii, które miały przybliżyć różnym ludziom, czym jest balet. I my występowaliśmy w fabrykach, w przedszkolach, w szkołach, w domach starców – to też było takie ciekawe przeżycie, trochę traumatyczne, ale też bardzo ciekawe. To, że nie wypycha się ludzi poza margines, że się tych ludzi obejmuje i to też jest takie, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, socjalistyczne myślenie.

Raz pojechaliśmy... i to było niesamowite! Z punktu widzenia artystycznego, to myślę, że to jest najfajniejsza rzecz, jaka się może zdarzyć człowiekowi. Pojechaliśmy do fabryki butelek, w Bronnesund, to była wielka fabryka opakowań plastikowych. Układaliśmy wiersze nawet o tym. Nie pamiętam, jak się nazywała ta fabryka, ale pamiętam, że rymowała się z bombastic, fantastic. I występowaliśmy w takiej wielkiej kantine dla robotników i ten występ, który mieliśmy przygotowany, był w czasie ich przerwy śniadaniowej. W związku z czym oni przyszedli na tę przerwę śniadaniową i rozłożyli te swoje paczki, zaczęli jeść, a my już robiliśmy tam jakieś rzeczy. I nagle w pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że oni wszyscy przestali jeść. I to było najpiękniejsze, co się mogło zdarzyć. Że oni nagle weszli w ten świat, który my im chcieliśmy pokazać. [Karol Urbański]

Jak byłem na Szkole [Letniej w Oslo – JG], to nie wypadalo, bo po pierwsze dostawaliśmy stypendium na to, żeby się uczyć, a nie pracować, a po drugie tak od razu to nie było jak załatwiać. Ale właściwie jak szkoła się kończyła w czwartek to już po weekendzie, od poniedziałku poszedłem do pracy. Pierwsze podejście wykonali ci moi chwilowi gospodarze, znajomi mojego kolegi. I jak pracowałem w tym szpitalu [jako ogrodnik – JG], to tam się spotkałem z zainteresowaniem moją osobą, że jak się kończyła fucha szpitalna, przełożony zaraz

mi polecił, że cmentarze to jest dobra fucha. No i od tego czasu, zaraz na początku maja 88, z krótkimi przerwami na jakieś drobne wakacje, to już było prawie do końca. To znaczy pracowałem na różnych cmentarzach. Wielu ludzi mnie pytało, czy się nie staram o coś lepszego, ale szczerze mówiąc to mnie tam było całkiem dobrze. Mogłem sobie czytać i pisać. Poznawałem fajnych ludzi. [Michał Siciński]

Grałem też w dwóch filmach. W tym w jednym bardzo pouczającym, na [175. – JG] rocznicę konstytucji. To miało być emitowane w 89 roku, przed 17 maja, bo 17 maja jest święto konstytucji właśnie. Z tego wynika, że nagrywanie filmu, bo ja pamiętam, że było lato, to musiało być poprzedniego lata, a więc w 88 roku. Film oczywiście potem oglądałem w telewizji i siebie widziałem i słyszałem jedno zdanie przez siebie wypowiedzane: „Boże zachowaj starą Norwegię”.

Ja szczerze mówiąc zbyt dobrze nie pamiętam [jak dostałem tę rolę – JG], ale chyba mi ktoś powiedział, że poszukują statystów. W gruncie rzeczy ja byłem trochę więcej niż statystą, bo statysta to stoi albo może biegnie i to jest anonimowa postać. A ja miałem przypisaną rolę konkretnego posła z konkretnego tam jakiegoś okręgu. No i wypowiadałem to jedno zdanie, które zacytowałem. Więc mogę powiedzieć, że byłem epizodystą. A drugi film to był jakiś kryminał, którego akcja rozgrywała się na lotnisku i ja tam byłem jednym z pasażerów. To oczywiście było dużo mniej pouczające niż ta konstytucja.

Ale cała tamta charakteryzacja w ten strój z początku XIX wieku. Jak mówię, nie było to dla mnie coś super niezwykłego, ale jakieś tam znaczące doświadczenie. Poza tym się dużo dowiedziałem z historii Norwegii w związku z tym, że czytałem i scenariusz tego filmu, co było oczywiste i pewne rzeczy dotyczące w ogóle historii Norwegii w aspekcie tych wydarzeń z 1814 roku. [Michał Siciński]

## Język

Da się żyć w Norwegii bez znajomości języka norweskiego. Jeżeli zna się język angielski, to prawda jest taka, że 99% Norwegów, od 3-latka po 93-latka, perfekcyjnie posługuje się językiem angielskim, więc naprawdę nie stanowi to problemu. [Agnieszka Nowak]

Tam jest tak, że przynajmniej w Oslo wszyscy mówią po angielsku, w związku z czym na początku nie ma się motywacji do tego, żeby się uczyć norweskiego i ja na początku posługiwałem się tylko angielskim. Ale ponieważ ja w ogóle lubię się uczyć języków, bo dla mnie to jest wydarzenie z rzędu cudownych, że się słyzy jakiś belkot i z tego belkotu się wylania jakaś myśl, więc po pewnym czasie się zacząłem uczyć norweskiego. Nigdy nie osiągnąłem biegłości, ale jakoś tak komunikacyjnie to tak. Natomiast uświadomiłem sobie taką rzecz, że jeśli się chce funkcjonować w pewnym społeczeństwie, to trzeba mówić językiem tego społeczeństwa, żeby nie być wykluczonym, ponieważ to jest rodzaj gestu z ich strony. Czasami byliśmy w jakimś towarzystwie, gdzie większość ludzi była Norwegami i oni rozmawiali po angielsku i w pewnym momencie już mieli dosyć rozmawiania po angielsku, w związku z czym przechodzili na norweski. I jak się nie mówiło po norwesku, to się miało poczucie bycia wykluczonym. [Karol Urbański]

Będąc w Norwegii, nauczywszy się tego języka, zrozumiałem, że język jest kluczem do poznania kultury. Naprawdę, inny jest kontakt z Norwegami po angielsku. Jak się wchodzi w norweski, to oni po prostu odsłaniają się w tym momencie, można wejść w każdy zakamarek kultury, mieć kontakt bezpośredni. Wiem, co to znaczy być obcokrajowcem za granicą. Dlatego bardzo ważne jest szybkie poznanie języka, bo znam Polaków, którzy mieszkali tam, czy mieszkają wiele lat i nie uczyli się języka, operowali angielskim i mieli zawsze problemy, na przykład z adaptacją w kulturze, czy nawet z pracą. Wiadomo, że pewnych prac się nie da wykonywać nie znając języka. Mój znajomy, który mieszka już tam dwadzieścia lat, powiedział mi, że dopiero zaczął się uczyć norweskiego, gdy jego córka poszła do przedszkola. To było

może po ośmiu, dziesięciu latach. „Zaprowadziłem swoją córkę do przedszkola” – mówi – „i poczułem, że mi jest wstyd, że moja córka mówi po norwesku, a ja po angielsku z przedszkolankami i zacząłem się uczyć.” [Paweł Szkołut]

W ogóle to było śmieszne, bo większość Polaków to byli świetni fachowcy. Oni gdzieś po dwadzieścia lat byli na budowie, a to wcześniej w Niemczech czy gdzieś. Fach mieli doskonały, ale języka nie znali kompletnie. Stworzyli jakiś tam swój pomieszany język i na podstawie jego się dogadywali z szefostwem. Ale jak oni się dogadywali, to ja nie mam pojęcia. Na początku ja w angielskim się dogadywałem, a oni używali kombinacji kilku słów typu „siet”, że coś jest nie tak i „gut” albo „ok”. Ale jak potem z tymi szefami pogadałem, to powiedzieli, że oni na ogół nie mają zielonego pojęcia, co tamci chcą im przekazać. Tylko przytakują. Widzą, że robota dobrze idzie, więc przytakują i odjeżdżają. I to mimo tego, że tak długo pracują.

Ale jak ja odchodziłem z tej spółki, to ci co zostali, musieli podpisać takie zobowiązanie, że mają ileś miesięcy, żeby podstaw języka się nauczyć. [I ci Polacy – JG] wkurzyli się mocno. Powiedzieli, że oni niczego nie będą się uczyć – niech tamci się nauczą polskiego. No i pewnie się nie nauczyli i to przeszło bokiem i ich nie zwolnili. Widać było, że byli dobrzy w tym. [Tomasz Kłosowski]

Byłem troszeczkę językowo przygotowany do tego wyjazdu, dlatego, że na naszym uniwersytecie był kierunek skandynawistyka i były robione kursy językowe dla studentów i pracowników naukowych. Zapisalem się na taki kurs języka norweskiego, [gdzie – LK] chodziłem pół roku. Nauczyłem się tam, może nie rozmawiać, ale jakichś zwrotów norweskich. Kiedy pojawiłem się w Norwegii, [napotkałem – LK] w gazecie ogłoszenie *jordbarplukkere søker* i numer telefonu, to znaczy potrzebuję zbieraczy truskawek. Więc już zrezygnowałem z wyjazdu do uniwersytetu. Zadzwoiłem, gość wykazał zainteresowanie. Kilka zdań sobie na kartce napisałem, co chcę powiedzieć, mniej więcej jakich odpowiedzi się spodziewam. To jest

język na tyle niepopularny, że jeżeli przyjeżdżał ktoś zza żelaznej kurtyny i mówił w ichnim języku, to była atrakcja. Dla niego było to zaskoczenie. Byłem młody i robotny. Pewnie był ze mnie zadowolony, tym bardziej że mógł ze mną już rozmawiać, bo gospodarz, u którego pracowałem, nie znał innego języka poza norweskim i się jakoś dogadywaliśmy. Jego też bardzo interesowało, co tam się w tych dzikich krajach naszych dzieje. I myśmy opowiadali, że tu mieszkamy, że to, że nie ma tego, że na przykład nie było cukru, że nic w tym kraju nie ma w sklepach, bo to były takie czasy. Nie mogli w to za bardzo uwierzyć. [Edward Grzybowski]

Ja się uczyłem sam. Ponieważ ta moja przyjaciółka była tłumaczem przysięgłym więc ona miała podręczniki. Nota bene uczyłem się z podręcznika z 38. roku i uczyłem się *riksmåla*. Tak, że mówiłem takim niecodziennym norweskim. To też była dla mnie rzecz niezrozumiała, że oni mają trzy języki jak gdyby, że jest *bokmål*, *landsmål* i *nynorsk*, i ten *nynorsk* jest zupełnie odmienny. I człowiek na przykład uczy się *bokmåla* i nagle dowiaduje się, że to jest inaczej, to jest inaczej i to jest inaczej. Myślę, że potem przechodzenie nie jest problemem. Natomiast jest to dość niezwykle, że ma się kraj, gdzie jest 4 miliony ludzi i oni w zasadzie za każdą górą mówią innym dialektem.

Wymowa była dla mnie potworna. Ludzie, z którymi rozmawiałem mówili, że ja mówię z duńskim akcentem. Nie byłem w stanie opanować tej śpiewności, która jest w tym języku. To jest taki język, który się mówi z taką pewną emfazą, a emfaza jest zupełnie wbrew mojej naturze. W związku z tym u mnie to tak brzmiało płasko. Natomiast to co było fajne, to że ja się w dużej mierze uczyłem języka z telewizji, ponieważ oni nie mają dubbingu, tylko napisy. Ja oglądałem dużo angielskich filmów i sobie próbowałem to odwzorowywać w napisach. I stamtąd też duży zasób słownictwa wyniosłem. [Karol Urbański]

Metoda, którą ja obrałam, to znaczy słuchać, dopóki nie zrozumieć, to była metoda nauki w tej szkole. Pamiętam pierwszą lekcję, kiedy zebrała się nas grupa dwudziestu osób, każde z innego



kontynentu świata, z innego kraju, innego koloru skóry, wyszła nasza lektorka, która nie powiedziała słowa po angielsku. Mówiła po norwesku, a my wszyscy patrzyliśmy po sobie nic nie rozumiejąc, więc powtarzała nam przez 45 minut: „nazywam się Anna Tajgen”, bo tak się nazywała, „jak Ty się nazywasz?”. Po 45 minutach domyśliliśmy się, o co chodzi i powtarzaliśmy za nią jak małpki. Była to bardzo dobra metoda, naprawdę. Człowiek, jak jest zmuszony, to zrozumie. Myślę, że to zaprocentowało w szybkiej nauce.

System nauczania nastawiony proczłowieczo w tym sensie, że człowiek i społeczeństwo w Norwegii jest na pierwszym miejscu. Czyli my oprócz nauki języka, co było naszym głównym zadaniem, uczyliśmy się nauki o społeczeństwie, tradycji norweskich, norweskich piosenek patriotycznych. To była nauka kompleksowa o tym, jak żyć w Norwegii, jak rozliczyć się z podatków, w jaki sposób działają urzędy, jak coś załatwić, jakie dokumenty trzeba wypełnić, na jakich stronach internetowych je można znaleźć. To była całościowa, kompleksowa wiedza, która powodowała, że osoba przyjezdna czuła się jak w domu, czuła się bezpieczna i wiedziała jak się poruszać. [Agnieszka Nowak]

Otóż Polacy trafili w różne strony Norwegii. Więc kiedy na pierwszym Zjeździe [Solidarności Norwesko-Polskiej] się znalazłem, nie wiem czy to był jeszcze 84, czy już 85 rok, to byli Polacy z Bergen, Stavanger, nie ze wszystkich regionów przyjechali, ale z większości byli reprezentanci. I co łączyło tych wszystkich Polaków? Wszyscy mówili źle i z polskim akcentem. Ale jednocześnie każdy w tym swoim norweskim nasiąknął dialektem lokalnym, a jak wspomniałem bardzo się od siebie te dialekty różniły. W związku z tym to było bardzo zabawne, że Polak mówi źle po norwesku-stavangersku, Polak mówi źle po norwesku-bergeńsku czy po trondheimsku. Było śmiesznie. Ale wszystko odbywało się po norwesku i chyba dobrze, że tak było. [Aleksander Gleichgewicht]

## **Życie codzienne Polaków w Norwegii**

Ja mieszkam na takiej wsi. Dużo mniejszej niż polska typowa wieś. Dom od domu jest dość mocno oddalony. No i ciężko jest mi ocenić, bo my się trzymamy w takich kupach Polaków. Tam się gdzieś spotykamy na weekendy, na jakąś kawę, czasem na jakąś zabawę. I to głównie na tym nasze towarzystwo polega. Jak jeszcze w tej spółce budowlanej byłem, to często spotykałem się z Norwegami w jakichś pubach, dyskotekach. Ale na dłuższą metę to nie miało sensu, bo wiadomo, że człowiek tam wyjeżdża też ze względów finansowych, że lepsze pieniądze. A jak się tam ktoś bawi, to za dużo nie odłoży. Ja to po kilku miesiącach sobie uświadomiłem, no i przestałem się bawić. [Tomasz Kłosowski]

Jako młodzi dziarscy ludzie zamieszkaliśmy w namiocie. Materac wiozłem dmuchany, taki ciężki, ze trzy kilo to ważyło. No i mieszkalem w namiocie, ponieważ inni ludzie już mieszkali w przyczepach kampingowych. Pod koniec sierpnia zaczęło się już robić chłodno. Może nie przymrozek, ale koło zera to już było. A tu dwóch młodych, dziarskich ludzi w namiocie spalo. Norwedzy przyjeżdżali i patrzyli, że jesteśmy tak zahartowani. [Krzysztof z Krakowa]

Wiadomo, że tam jechało się, żeby zarobić. Kupowało się rzeczy jak najtańsze, to jest oczywiste. Dużo rzeczy miałem bezpośrednio od Norwegów, u których pracowałem. Produkty z pola myśmy mieli u nich za darmo. To już dużo było: warzywa, ziemniaki, czy nawet i chleb. Jak czasem piekł Norweg, to myśmy korzystali z tego pieczywa, bo ceny tam były naprawdę... z ciężkim bólem się kupowało, z ciężkim bólem. A jeszcze mieliśmy pomocnika wydre, która przychodziła w nocy i czasem nam podkradła jedzenie. [Wiesław Krzemiński]

Myślę, że jeżeli się wchodzi do sklepu w Norwegii, to od razu widać, czy są w nim klienci z Polski, czy nie, ponieważ bardzo łatwo ich poznać. Chodzą, rozglądają się w poszukiwaniu jakichś niskich cen i zazwyczaj przy stoisku z pieczywem sięgają po chleby kneip, które są po

prostu rozchwytywane i Norwedzy myślą, że one są tak dobre, a po prostu one jedynie mają cenę, która pozwala na zakup ich. [Barbara z Krakowa]

Każdy Polak i nie tylko Polak emigrant, korzystał z tak zwanych Løype Market. To rodzaj organizowanych przez Armię Zbawienia wyprzedaży, która to od osób, które mieszkają w Norwegii zbiera różne nieprzydatne rzeczy. Nieprzydatne, czytaj również nowe. Naprawdę za symboliczną kwotę, niejednokrotnie jest to jedna korona, kupuje się wszystko, całe wyposażenie domu: lampy, meble, stoły, sprzęt AGD, RTV, każdą jedną rzecz, jaką sobie możemy zamarzyć, tekstylia, nie tekstylia, sprzęt narciarski. Niejednokrotnie są to rzeczy całkowicie nowe, niejednokrotnie są używane, natomiast dla Polaków główna rozrywka, czyli dorabiam się na Løype Marketach. Cały fundusz, który był zebrany na Løype Marketach szedł na szczytny cel, na przykład zielonych szkół dla dzieci, tudzież na wspomaganie zespołów muzycznych w Norwegii. [Agnieszka Nowak]

Generalnie Norwedzy, mam wrażenie, szanują Polaków, szanują polskich pracowników, bo Polak zazwyczaj jest bardziej wydajny niż Norweg. My jesteśmy przyzwyczajeni do troszeczkę innego tempa pracy. Polak potrafi wszystko niemalże, Polacy są „złote rączki”. Jeżeli Norweg coś potrzebuje zrobić, to jest takie powiedzenie „weź sobie jakiegoś Polaka”, na zasadzie takiej, że Polacy na tyle już opanowali ten rynek remontów, że wręcz to słowo stało się synonimem kogoś, kto przyjdzie i szybko coś naprawi. Ale to nie jest negatywne. [Paweł Szkołut]

W ogóle taki spokojny sposób życia jest tam. Ja zanim wyjechałem, to tutaj dość szybkie tempo życia miałem i tam już na początku cały czas chciałem takie tempo utrzymać, ale każdy mnie uspokajał, żeby wolniej, żeby spokojniej. Tam nawet ci moi przełożeni mówili, że bym się nie spieszył. Ja mam tam płacone za godzinę, a nie za wykonaną pracę i że bym spokojnie przez te 10 godzin się czymś zajmował. Też dla mnie to było dziwne. W Polsce niemalże z biczem, żeby

szybciej. I potem jak zjechałem po tych dziesięciu miesiącach, to ciężko mi było się przystosować. [Tomasz Klosowski]

Wystarczy wyjechać z Oslo, wjechać na te szczyty, przy tym ich narodowym parku Hardangervila i zaczyna się właśnie ta dziewicza ziemia, bez tych wszystkich domostw i czuję się tam, jak na zupełnie innej planecie, totalnie wyciszony i jest to miejsce jedyne w Europie, jakie na razie znalazłem, gdzie mogę odpocząć. [Paweł z Warszawy]

O! To jest przygoda super. Byliśmy pod Galdhoppingen, na lodowiec chcieliśmy się dostać. Byliśmy wtedy maluchem i wyjeżdżamy, a były tam takie serpentyny, maluch wysiadł od razu. I mąż mówi: „trudno, nie jedziemy, nie da rady nasz samochód” – jeśli to można nazwać samochodem – „wyruszyć w górę”. Ja mówię: „Andrzej, ale my musimy wyjechać, błagam Cię, zrób coś”. „Dobra, ale to jest ostatnia próba”. I zaczęliśmy rzeźić na jedyńce. Rzeźiliśmy tym maluchem, już się zdawało, że on nie wyjedzie pod górę. Na każdym zakręcie zdychał, ale żeśmy rzeźili i żyłowali go i takim wolnym tempem jechali, a Norwegowie bili nam brawo, bo tam autobusy wyjeżdżały bez problemu, wszystkie auta, tylko nasz maluch tak dropiasto jechał. I wszyscy nam bili brawo i podnosili palce, że ok. I dojechaliliśmy na samą górę. I byliśmy na lodowcu. Dopieliśmy się do jakichś Francuzów, którzy byli jedną liną pospinani i z przewodnikiem. Chodziliśmy po tym lodzie i doszliśmy do takiego schroniseczka na Galdhoppingen. Piękne widoki, mam zdjęcia zachodzącego słońca. Nocowaliśmy w namiocie tam. A potem była śmieszna przygoda, bo jak zjeżdżaliśmy tym maluchem z powrotem, to w pewnym momencie (na szczęście na samym dole) przestały działać hamulce i mąż mówi, że jak by to było wyżej, to by było pięknie. Po prostu się zatarły chyba czy przegrzały. Coś się stało. Taką żeśmy mieli przygodę. [Iwona Stasz]

Jak każdy wie, Norwegia słynie z losi. Symbolem dla obcokrajowców są znaki los, los, los. Nie wierzyłam w to, dokąd sama nie miałam kilku bliższych spotkań z losiem. Jedno to było takie, że w mieszkaniu, w którym mieszkałam, było ono położone bardzo blisko lasu i przez pierwsze dwa tygodnie odkąd tam się wprowadziłam, miałam panikę i miałam traumę absolutną, zakładając, że w nocy ktoś się chce włamać do naszego mieszkania. I że w nocy obserwuje, co się u nas dzieje, ale bałam się z sypialni wyjść do salonu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Strach mnie panicznie opanowywał. Aż pewnego razu się odważyłam, żeby jednak sprawdzić, czy ktoś się nam nie włamuje i przed oknem, ku mojemu zdumieniu zobaczyłam parę losi, które się pasły na naszym ogródku i czekały, czy w związku z tym, że są blisko domostwa, nie będzie czegoś ciekawego do jedzenia wokół domu. [Agnieszka Nowak]

W ogóle też ciekawe rzeczy działy się tam na farmie, bo na przykład organizowaliśmy sobie mecze z Norwegami w piłkę nożną. To była taka historia, że mieliśmy ciężką pracę w truskawkach. Tam nam dowalili przed tym meczem, że po pierwszej połowie wszystkich złapały zakwasy, po prostu nie byliśmy w stanie grać. Nie wytrzymałyśmy do drugiej połowy, no i wystawili przeciwko nam dziewczęcą reprezentację, ileś tam dziewczyn. Śmiech na sali był straszny. Na początku graliśmy dobrze, ale ze sztywnymi nogami nie da się grać. [Andrzej Stasz]

*Paliliśmy ogniska, jezioro gospodarz miał fajne, gdzie chodziliśmy się kąpać. Każdy przywoził, wtedy można było dwie butelki wódki przywieźć, i bawiliśmy się. Gospodarze też do nas przychodzili, sąsiedzi też. Jak się fajnie impreza rozwinęła, to i muzyka była. Dla nich to też była atrakcja, bo jak siedzieli sami, sąsiad od sąsiada oddalony dwa, trzy kilometry, bo to takie farmy były. Kiedy przyjeżdżali, zaglądali do nas, co my tam robimy. Okazało się, że się bawimy, że tańczymy fajnie, to przychodzili też.* [Edward Grzybowski]

*Po pracy wieczorami sobie graliśmy niekiedy, bo kolega gitarzysta, ja na harmonijce ustnej, a ten Ule Ringstad – pianista. Więc czasami wieczorami pogrywaliśmy. Czasami wybieraliśmy się na wycieczki piesze. To*

*były okolice takie dość góryste, lasy, osady. Jedna od drugiej tak kilkaset metrów, więc niezbyt zabudowany teren. A w weekendy jechaliśmy do Oslo. To było siedemdziesiąt kilometrów mniej więcej do Oslo i tam graliśmy na ulicach. [Krzysztof z Glinic]*

*Był taki klubik, co środę spotkania po pracy, wieczorem, na spokojnie. Każda jakaś tam robótkę przywoziła, pokazywała, chwaliła się, co nowego zrobiła, tak że to było wspaniale. Dołączyłam z tego względu, że właśnie te stroje narodowe zaczęłam szyć, ta moja szefowa zobaczyła [i powiedziała – LK] super ci idzie, to my ci nauczymy paczworki szyć i aplikacji i druty. Tak, że one mnie wciągnęły w to wszystko, w ten świat robótek ręcznych, to im zawdzięczam. Bardzo się cieszę, bo w Polsce nie jest normą, że tam kilka kobiet się spotyka i tak wieczorami, i sobie wykonują jakieś rzeczy. [Edyta Scąber]*

*I spotykałem ludzi, skądinąd bardzo sympatycznych, którzy uprawiali niestety jakiś taki polski sposób kombinowania: jak przeżyć, jak przetrwać, jak coś tam zrobić. I to, co było dla mnie absolutnie niezwykle, to fakt, że ci ludzie mieszkali np. 15 lat, 20 lat i w dalszym ciągu nie mówili po norwesku, a po angielsku też nie mówili. Oni w zasadzie mówili tylko po polsku i mieli parę podstawowych zwrotów, które im służyły do komunikacji i żyli w swoim świecie, z tego świata czerpiąc, a jednocześnie ten świat odrzucając. [Karol Urbański]*

*Przez to, że do końca nie wiedziałem, co oni mówią, to jest mi ciężko to ocenić. Ale nie było jakichś negatywnych sygnałów, żeby coś się działo. Chociaż słysząc, że Polaków nie lubią za to czy za tamto. Często były takie sytuacje, np. z tymi śmietnikami. Są tam takie kontenery, gdzie sklepy, jak coś się nie sprzedaje, wystawiają to, ale i ludzie z domów zwożą, często nowy sprzęt. A Polacy, jak to Polacy z miejsca się do tego brali. I wszystko było ok, tylko dookoła zawsze powstawał bałagan, oni tam wyciągali jakieś rzeczy, coś im upadło, potem tego nie sprzątnęli. I oni to zaczęli zamykać na kłódki. A Polacy wiedząc, że nadal coś tam jest, to się włamywali do tego. Więc oni patrzyli na Polaków z pewnym takim nie-zaufaniem. Często więc były zapytania, dlaczego my tak postępujemy.*

*Na przykład były odpady miedzi na budowie. I Polacy tam sobie to pakowali do siatek, plecaków i brali do Polski, żeby sprzedawać. A ogólnie było to dość śmieszne, bo nawet sprzęt za duże pieniądze był zwyczajnie przez weekend. Przychodził piątek, a oni kładli sprzęt i on zostawał na ulicy na weekend. I oni przychodzili w poniedziałek do pracy i ten sprzęt tam leżał. Ale po pewnym czasie pamiętam, oni zaczęli to chować, bo widocznie coś im ginęło. Nawet w gazetach było, że ginął sprzęt budowlany.*

*U nas nie dość, że w kontenerze by to zamknęli, to jeszcze siatkę dali, jakiegoś psa i jeszcze ktoś by czuwał na tym. A tam każdy mógł sobie to wziąć. To mi się podobało. Ale jak ta miedź zaczęła ginąć, to było takie zapytanie i do Polaków głównie, dlaczego chcemy tą miedź. Po tym już nie ginęła ta miedź, ale to był taki sygnał dla nich, że coś jest nie tak. [Tomasz Kłosowski]*

*Przypomniało mi się, jak dzwonił się z automatu w Boverbru do rodziny i okazało się, że zamiast jakiejś monety norweskiej, która była dla nas naprawdę sporo warta, złotówka polska wpadała. I Polacy wszyscy wydzwaniali za złotówkę do swoich ludzi w kraju i tam się zrobiła afera w Boverbru, skąd się tyle nazybierało... Później to zablokowali, coś tam zrobili. To jest taka śmieszna rzecz po prostu. O tym powiedziała nam ta Pani Inge, że coś takiego odkryto. [Iwona Stasz]*

*Z Polakami na gruncie pracowniczym to się w ogóle nie spotykałem w Norwegii. Nie chciałem powiedzieć aż, że unikałem, ale daleki byłem od szukania kontaktów z Polakami... Gdzieś tam język polski słyszałem na jakichś open marketach to znaczy takim wykupie używanych rzeczy, ale raczej nie dawałem po sobie poznać, że jestem z Polski. [Michał Siciński]*

Tam mieszkało na tym statku chyba pięćset osób, albo około pięciuset na tym promie. Oczywiście do jakichś konfliktów dochodziło, ale nie było jakichś krwawych incydentów. Tam był zakaz spożywania alkoholu, ale Polacy zawsze coś sobie tam przemyśli i sobie popijali. Aczkolwiek było tam tak, że do tej obiadokolacji dostawało się kupon i za ten kupon można było sobie wziąć piwo, lampkę wina, bądź pepsi, albo coca-cole i to był jedyny alkohol dozwolony.

Byliśmy właściwie cały czas na terenie zakładu. Ten prom był przycumowany do wyspy, na której był tylko i wyłącznie ten zakład. [Wojciech z Tarnowa]

## **Kościół**

*W pierwszym momencie człowiek jest skazany na to, że mówi po polsku, więc są te msze polskie, kiedyś była jedna, teraz jest ich więcej, bo jest więcej ludzi. Jak umiałem już norweski, uczestniczyłem też w mszach angielskich i norweskich. Te polskie msze przynosiły trochę tego całego chaosu, który jest tu w Polsce. Ja mówię, od strony liturgii, natomiast msze norweskie niosły ze sobą pewien porządek. Ale generalnie to też dla mnie było takie okienko na świat, ponieważ nagle zobaczyłem że Kościół, dwie parafie norweskie, a zwłaszcza ta jedna, centralna, ma 110 narodowości. To bardzo dużo mówi o Kościele. Pokazuje bogactwo Kościoła. Kościół pozwalał zetknąć się z tym światem i zobaczyć, że nagle my nie jesteśmy ten pepek świata – Polacy, tylko jest cała masa ludzi. I to było takie szalenie ubogacające.*

*Te wszystkie grupy narodowościowe, one się oczywiście jakoś ze sobą trzymają razem i dla siebie. Ale też jakieś minimum się udaje stworzyć. Oni mają taki ładny zwyczaj kawy po mszy. To się brało stąd, że odległość do tego kościoła jest duża, więc w salce parafialnej po mszy jest serwowana kawa, ciastko. I tam można porozmawiać z tymi różnymi ludźmi. Tu już było mniej tych barier, które na co dzień były z Norwegami. [Józef Baran]*

Nie, ja się jakoś nie udzielałem środowiskowo. Ja raczej ludzi postrzegam indywidualnie, przez jednostki bardziej niż przez organizacje. Natomiast myślę, że te organizacje robią dużo dobrego, tylko pytanie jest: na czym polega to, że się robi dobrze? Czy, że się zachowuje tożsamość i się wydziela nas z tamtej wspólnoty, czy się nam pomaga w tamtej wspólnocie odnaleźć? I ja miałem wrażenie, że to bardziej polega na tym, żeby bardziej tę wspólnotę trzymać, że to jest taka nasza „arka” w świecie, w którym jesteśmy, a który jest nam nie do końca przyjazny. I też czasami tego doświadczałem, ponieważ, może nie jestem żarliwym, ale jestem



katolikiem i chodziłem do kościoła św. Olafa. I nie zawsze chodziłem na polskie msze. Czasami chodziłem na filipińskie, czasami na angielskie msze. I miałem wrażenie, że jestem w jakimś innym Kościele, że tam jednak religijność szczególnie Filipińczyków jest przepojona jakąś radością, jakimś śpiewem itd., a przychodziłem na polską mszę i nagle się czułem dziwnie, bo znowu słyszałem kazanie, w którym ktoś na kogoś gada. [Karol Urbański]

W miejscowości takiej malutkiej, w Oswang, w takiej scenerii, że można oszaleć, na pięknym wzgórzu porośniętym wrzosem z widokiem na jedno z pól norweskich truskawkowych był kościół drewniany, malutki, zbudowany z bali przez polskich górali. I tam zawsze się odbywa msza na zakończenie sezonu truskawkowego. Odprawia ją ksiądz pastor Norweg i jest też tłumaczka polska, żeby było [wszystko zrozumiałe – LK] zarówno dla gospodarzy norweskich i dla polskich pracowników. Zawsze po tym jest poczęstunek. Jest to bardzo mile.

Słyszałam, że była taka historia z tym kościołem. Była to troszeczkę samowolka budowlana i jakieś władze chciały usunąć ten kościół, ponieważ nie można tak robić, ale osoby mieszkające w pobliżu, Norwegowie, sprzeciwili się, ponieważ tak czuli się przywiązani do niego i dobrze się tam czuli. I była księga pamiątkowa, do której się można było wpisywać i pamiętam, że były zarówno polskie wpisy, jak i norweskie. [Barbara z Krakowa]

Chodziliśmy do kościoła ich wyznania, czyli protestanckiego. I miałam rozmowę z moim księdzem, czy tak mogę postępować. Według mnie, Bóg jest wszędzie i to nie ma znaczenia, że ja siedzę w ławce w takim a takim kościele, ja po prostu modliłam się po swojemu. Byłam na tej ich mszy i tam oczywiście, jak trzeba było, to wstawałam i klękałam, żeby się nie odróżniać, ale modliłam się po swojemu i ksiądz powiedział, że oczywiście to jest w porządku. Tak samo jak oni tutaj do nas przyjeżdżali, zabierałam ich na naszą mszę i tak samo się czuli. U nas msza święta jest po prostu bardzo poważna, wszyscy w skupieniu się modlą i śpiewają, a tam jest pełny luz. Bardzo często były koncerty na mszy. W Drebaku, jest bardzo znany chór męski, często śpiewali.

Komunia mnie zaskoczyła, że piją wino. Dostają każdy kieliszek malusieńki i piją wino przy komunii, nie tylko opłatek, ale i wino. I ilość może osób na mszy też mnie bardzo zaskoczyła. Że jest może pięć starszych pań i jedno dziecko i to jest wszystko, żadnej młodzieży, nic. W takim wieku średnim też nie. Są tylko osoby starsze. [Edyta Scaber]

Spotykaliśmy się na mszach w kościele protestanckim. Przyjeżdżał ksiądz z Oslo bodajże i na mszach właśnie dużo Polaków się pojawiała. To robiło duże wrażenie na Norwegach, kiedy pokazywaliśmy, że jednak jesteśmy narodem wierzącym, bo u nich protestanci troszeczkę mniej intensywnie wierzą w Boga. A myśmy zawsze na niedzielę przyjeżdżali, ze wszystkich farm się pojawialiśmy i na mszy uczestniczyliśmy czynnie. Po mszy się spotykaliśmy, rozmawialiśmy, wymienialiśmy się wieściami. Ogólnie rozmawialiśmy. [Edward Grzybowski]

[Po wypadku w Smoleńsku, córka – LK] zadzwoniła do króla norweskiego i msza była w katedrze, gdzie są koronowane głowy norweskie i król też uczestniczył w tej mszy. Była msza w kościółku polskim, ksiądz czytał nazwiska ofiar tej katastrofy, a ona zapalała świece za każdą ofiarę. Były łzy, był płacz, ale to, że załatwili, żeby król oddał tę katedrę najpiękniejszą i największą w Skandynawii na spotkanie Polaków, to wielka sprawa i sam w niej uczestniczył. Polacy w chwilach takich tragedii potrafią być razem, potrafią się wspierać, potrafią sobie pomagać, nie wstydzą się łez, a to jest ważne. Tak jak powiedziałam, bardzo się cieszę, że zajmowała się organizacją tego spotkania. [Wanda z Ponikwi k. Pułtuską]

### **Norwegia i Norwegowie**

To, co mnie urzekło też w Norwegii to przyroda. To jest po prostu obłędny kraj, jeżeli chodzi o otoczenie, w którym się tam mieszka. Ponieważ mieszkałem sam, to dosyć dużo spacerowałem, dużo jeździłem. Ja tam miałem bardzo sympatyczne mieszkanie z widokiem na las i góry.

Wychodziłem z teatru, jechałem 20 minut metrem i byłem u siebie, potem szedłem 10 minut pieszo i byłem – w górach w lesie, wśród jezior, taki zupełny przeskok.

Więc to jest naprawdę niezwykle, że można tam obcować z przyrodą, że jak się tam jest, to się ma takie wrażenie, że tak wyglądał świat dzień po tym, jak go Pan Bóg stworzył. [Karol Urbański]

Co wtedy mnie jeszcze uderzyło? Że wszystko było takie ładne w Norwegii, w porównaniu z tym, co u nas. Ja na przykład miałam szklane butelki z cumelkami dla synka, takie toporne, ordynarne butelki, a oni mieli takie kolorowe, ładne, plastikowe, lekkie buteleczki. Pampersy – a myśmy uwielbiali z mężem chodzić po górach i nie mogliśmy zabrać synka do nosidelka, bo niewyobrażalne było iść w góry z pieluchami z tetry, które były obsikiwane – i co nosić te wszystkie pieluchy ciężkie? W dodatku mieliśmy na kartki te pieluchy, bo nie można było ich zdobyć. A tam wszystko było! Kolorowe, ładne, pięknie się prezentujące. I ja nawet kupiłam jedną taką buteleczkę dla synka, żeby mieć coś ładnego dla niego. [Iwona Stasz]

Jak ja bym tam mieszkał, to bym był zadowolony na miejscu tych Norwegów. Był taki moment, jak my byliśmy u nich z żoną [u syna Grzegorza i jego dziewczyny Dagmary – LK], z drogi dojazdowej do [ich – LK] domu płynie mały strumyk i wypłukała woda rurkę kanalizacyjną w momencie przejazdu z głównej drogi, i nie było przejazdu. Przyszedł jeden Norweg sąsiad, przyniósł sprężynę do przepychania, drugi przyjechał dużą koparką, zrzucił mu tłuczeń, taką ziemię, żeby miał czym przysypać, żeby mógł przejechać. I tak każdy poprzychodził, coś przynosił i chciał pomóc. Widziałem taką solidarność. Ale na przykład nie podoba mi się także to, jak w tym pierwszym przypadku, razem koło siebie mieszkali, prawda, ale tylko mówili sobie cześć, hai-hai, a w ogóle się nie znali. [Miroslaw P.]

Przy każdym problemie, jakimkolwiek problemie, oni zawsze przychodzili mi z pomocną dłonią. W każdej sytuacji, naprawdę. W sytuacji kiedy zepsuł mi się samochód i właścicielki

mieszkania poszłam zapytać, czy nie ma jakiegoś mechanika znajomego, bo chciałabym tam naprawić auto, to ona nie tylko, że mnie zawiozła do tego mechanika, to jeszcze mi swoje auto dała. Mówi: „ja sobie z mężem poradzę, mamy trzy auta różne, masz, bierz korzystaj”. Pomocność w każdym względzie. Natomiast, co mnie szokowało, nigdy w życiu nie zaproponowali spędzenia razem czasu w takim aspekcie na przykład wyjazdowym. Jak mówiłam wcześniej, każdy Norweg pakuje się o dwunastej w południe [w piątek – LK] z pracy i jedzie do swojej *hytta*. Nigdy w życiu nie padła propozycja: „jedź z nami”. Nie. Propozycja była inna, gdybyście mieli ochotę, ty i twoi znajomi, wyrwać się z miasta na weekend, to weźcie sobie klucze od naszej *hytta*, bo my w tym tygodniu nie jedziemy. [Agnieszka Nowak]

[Norwegowie – LK] są tacy bardziej zamknięci w sobie, bardziej smutni, niegościnni. Nawet jeżeli ktoś do nich przychodzi, to oni owszem częstują kawą i na tym się kończy przyjęcie. Natomiast sami w tym czasie przy gościach, mogą konsumować, mogą sobie zrobić drinka, oczywiście, ale tego gościa nie poczęstują. On jeżeli chce, to musi sobie przynieść z własną butelką. Tak, że dla nich gość, to jest taka sprawa normalna, nie tak, że przygotowujemy coś na spotkanie, jakoś tam dbamy wtedy bardziej, żeby coś w tym domku posprzątać, przygotować, a oni nie, oni się nie przejmują. U nich po prostu jest tak jak jest, proszę bardzo, kawką poczęstują, do widzenia. Jest to wizyta zaplanowana z góry od godziny czternastej do godziny szesnastej, szesnasta: „pięknie dziękujemy, do widzenia”. [Wanda z Ponikwi k. Pułtuska]

Ja od samego początku, nawet już na poziomie sąsiedztwa starałem się jak najbardziej wchodzić w to środowisko norweskie, przy czym tutaj „Solidarność Norwesko-Polska” bardzo była pomocna. Tak, że to wykraczało poza spotkania czysto organizacyjne. Z tego się rodziły koleżeństwa, przyjaźnie, picie piwa, wódki czy jakieś tam spędzanie czasu. Później się sytuacja radykalnie zmieniła również na tą korzyść norweską, przez to, że moja żona druga jest Norweżką. Więc za jej pośrednictwem wszedłem w różne środowiska. [Aleksander Gleichgewicht]

Tam, pamiętam, nawet kiedyś w tramwajach była taka akcja, gdzie był tam jakiś człowiek narysowany i taki promień, czy taka bańka, żeby po prostu nie włożyć na siebie. To też można mierzyć dystansem ludzi rozmawiających ze sobą. W Polsce to czasem jeden na drugiego włoży i jeszcze go łapie za guzik i mu kręci lub urywa. Natomiast tam jest to niemile widziane. Zachowuje się też pewien fizyczny dystans.

Kolejna rzecz, to już w formie anegdoty mogę podać, kiedy się uczyliśmy na początku norweskiego i, co nie było głupie, choć czasem troszkę śmieszne, uczono nas też jakichś takich podstawowych spraw typu korzystanie z książki telefonicznej. Nie chodziło, żeby uznać nas za idiotów, którzy tego nie umieją, czy też wypełniania druków, typu kwit, przekaz pieniężny, bankowy... I pamiętam, ta nauczycielka, młoda kobieta, Norweżka, taki przykład zadania podała, że wypełnimy teraz przekaz. Że wyobraźmy sobie sytuację, że mieszkamy w Oslo, a matka mieszka w Bergen i ma urodziny. No i że teraz [przygotowujemy – JG] jej przekaz pieniężny na te urodziny, że wysyłamy jej 500 koron. I ja poza tą lekcją spytałem, po angielsku, bo norweskiego jeszcze nie umiałem, że nie bardzo rozumiem, że może jakiś prezent?! A ona mówi: „Ale jak prezent? Po pierwsze” – i to jest ten ich racjonalizm – „ona ma powiedzmy 70 lat, ta matka. Jest kobietą, która popłaciła już wszystkie kredyty, ma samochód, ma dom, wszystko w domu, no więc co ona jeszcze potrzebuje? A jeżeli potrzebuje, to my o tym nie wiemy, mieszkając w Oslo, a ona w Bergen. W związku z tym wysyłamy, żeby sobie kupiła coś, na co ma ochotę”. Ja mówię: „Gdybym ja matce zrobił taki numer, to bym chyba przy pierwszej okazji w mordę od niej dostał, że ją strasznie obraziłem”. A ona pyta: „dlaczego? Przecież ty nie wiesz, co ona potrzebuje”. Ja mówię: „ale cały dowcip z prezentem dla starszej kobiety, jest taki, żeby jej kupić coś, czego ona nie potrzebuje i normalnie ona sama by na to nie wpadła, bo uznałaby, że to jest albo niepotrzebne, albo luksusowe”. „No to co byś dał?” – ona pyta. „No, ja bym jej wysłał jakiś szal jedwabny, za te 500 koron, perfumy dobre, lusterko ładne z pudrem”. I tutaj szklany wzrok i

zupełne niezrozumienie. Taki drobiazg w sumie przytaczam, ale jakoś zapamiętałem to, jako taką kompletnie inną mentalność. [Aleksander Gleichgewicht]

Pamiętam taką sytuację, to chyba oddaje taki charakter Norwegów, że nie są w stanie zrozumieć mentalności Polaków za bardzo i ich problemów na przykład finansowych. Było tak, że kiedy byliśmy w domu w górach, nie zawsze mieliśmy czas, żeby pojechać do sklepu, ponieważ ten sklep był oddalony o piętnaście kilometrów. Nasza gospodyni, którą bardzo lubimy i pozdrawiamy, kupowała nam czasem zakupy. I kiedy zrobiła to pierwszy raz, to tam wyciąga jakieś różne rzeczy z siatki po przyjechaniu ze sklepu i wyciąga również chleb *kneip*, którego mamy po prostu „potąd” i mówi, że kupiła go dla nas, bo wie, że my go tak strasznie lubimy. Nie chcieliśmy jej po prostu psuć humoru i tłumaczyć, dlaczego go kupujemy, bo myśleliśmy, że to jest jasne. [Barbara z Krakowa]

Ich poziom życia był zawsze o wiele wyższy od nas. Tak jak my, kobiety w Polsce, to codziennie, dzień w dzień obiadek trzeba ugotować i ciasto na weekend. Tamte kobiety skąd, zawsze patrzyły na mnie, jakbym nie wiem, [była – LK] z innej planety: „przecież masz sklep, to sobie wszystko kupisz”. Jak my wszystkie w sobotę sprzątamy, a one nie, one mają panie, które zajmują się domem i mogą sobie pozwolić na to wszystko, na wyjazdy, na wczasy. Nie przywiązują wagi do takich rzeczy jak my tu, w Polsce, do takich rzeczy materialnych. U nich się liczy po prostu mieć ten wolny czas. [Edyta Scaber]

Wydaje mi się to zdrowym podejściem, stosunek Norwegów do pracy, to, że zawsze znajdują czas dla rodziny. Jest ta granica między czasem, kiedy się jest w pracy i pracuje, i jest czas wolny, kiedy się zupełnie człowiek wyłącza i wyjeżdża poza miasto i nic go nie interesuje, czego w Polsce, tak naprawdę, w tej chwili nie ma. [Janusz z Węgrz k. Krakowa]

Nie jest takie łatwe przekroczyć czyjś próg. Do pewnego poziomu łatwo jest wypić z kimś kawę, łatwo jest porozmawiać od tak, niezobowiązująco, natomiast dużo trudniej jest przekroczyć próg domu. Są takie bariery, których się nie pokonuje, zwłaszcza w Skandynawii są takie: kwestie tematów religijnych, politycznych, które w domu rzadko się porusza. Wszczepiono ludziom, że się nie rozmawia o polityce i nie rozmawia się o Bogu. I to może być bariera w stosunkach z innymi ludźmi.

Jest jeszcze dodatkowy problem, bo raczej ich mentalność jest mało spontaniczna, mało otwarta, ale zarazem są to ludzie bardzo solidni w swoich relacjach, w swoich umowach, w wykonywaniu tego, czego się podjęli. Tak, że po pokonaniu tych barier są to korzystne kontakty na ogół. Można się czuć bezpiecznie, zwłaszcza w relacjach w pracy. Bardzo wiele rzeczy odbywa się na słowo i to jest dotrzymywane. Gdyby porównywać, to nie ma tej fasady, która jest w Polsce, takiej pięknej fasady, za którą często nic nie stoi. To tam jest sytuacja taka, że raczej trudno wejść za tą fasadę, ale jak już się uda wejść, to nie ma takich rozczarowań. [Józef Baran]

Norwegię oceniam bardzo pozytywnie, choć mam oczywiście pewne uwagi negatywne też. Mimo rosnącej ilości emigrantów, w sposób lawinowy za mojej tam bytności, to się zwielokrotniła ona, zwłaszcza z trzeciego świata, to Norwegia jest jednak prowincją. Ich doświadczenie dobrobytu jest właściwie nowe, ten dobrobyt rósł właściwie na moich oczach, oparty głównie o surowce. W związku z czym społeczeństwo z natury trochę takie chłopskie, siermiężne nagle przebiera się w garnitury, wsiada w dobre samochody i być może te procesy zachodzą tam tak szybko, że pewne wartości też, te tradycyjne się tam traci, przynajmniej w miastach. Natomiast pozostaje pewna prowincjonalność, którą da się przełożyć na pewną hermetyczność, może jeszcze bardziej odczuwalną przez ludzi innych ras niż Polacy. Jeśli trzeba zwolnić pięciu ludzi w koncercie, to przypadkiem wśród nich nie będzie Norwega. Norwegia to jest taka jedna wielka chłopska rodzina, mimo pewnych pięknych deklaracji, otwartości, tolerancji, wielokulturowości. [Aleksander Gleichgewicht]

Swoje przeżycia prywatne często potrafią uzewnętrzniać, np. flagami, w państwowy sposób. Tego w Polsce nie ma, żeby ktoś z okazji [własnych – LK] urodzin wywiesił flagę. My mamy troszeczkę inne podejście do państwa. Polacy są bardziej anarchistami, bardziej chcą państwo wykiwać. U nich państwo służy i tam się państwa nie oszukuje, bo to tak, jakby się siebie oszukiwało. Podobieństwo może być w pielęgnowaniu wartości narodowych, kultury ludowej, z tym że u nich ta kultura ludowa jest bardziej widoczna niż u nas, bo u nas to jest relikw, u nas są zespoły, które się przebierają. A w Norwegii na prowincji Norweg się potrafi ubrać w strój narodowy i pójść na zabawę taneczną. [Paweł Szkołut]

Po paradzie zostaliśmy zaproszeni z grupą znajomych do domu naszej znajomej na taką uroczystą kolację z okazji 17 Maja. I co mnie zaskoczyło, to, że wszyscy ci ludzie byli ubrani właśnie w stroje regionalne i widać było, że dla nich to też jest ważna sprawa. Nawet do tego stopnia byli dumni z tego, że to jest [ich – LK] norweskie święto, że mimo tego, że my nie mówiliśmy po norwesku, starali się nie mówić po angielsku. [Joanna z Krzeszowic]

Norwedzy są generalnie bardzo dumni narodowo i to, co norweskie jest najlepsze i to będziemy chronić. Przykładem może być kupno truskawek. W Norwegii truskawki są [jak – LK] dobro narodowe, z drugiej strony za kosmiczne pieniądze i w momencie kiedy pojawiają się konkurencyjne belgijskie, połowę tańsze, żaden Norweg nie kupi tych belgijskich. On zapłaci trzykrotnie większą cenę, ale kupi swoje, żeby chronić swój rynek narodowy. [Agnieszka Nowak]

Na początku dla mnie niezrozumiałe były akcje typu dugnad. Akcja społecznościowa, że raz na jakiś czas, na przykład cała społeczność, która jest wokół danej szkoły, przedszkola zgromadzona, czy kościoła, czy czegokolwiek innego, zbiera się, żeby społecznie popracować na rzecz swojego miasta, na rzecz jednej szkoły. Rodzice na przykład malują szkołę, inni kopią



ogródki, inni coś innego jeszcze robią, wbijają paliki, sadzą drzewka. Na początku to mi się kojarzyło bardzo z komuną, na zasadzie, że wszyscy razem. Miałam takie nefajne odczucia na zasadzie: oni chyba zwariowali, wszystko dobrze, ale wszystko ma swoje granice. Oni tak pod niebiosa tą pracę społeczną [wynosili – LK], że wszyscy musimy być społecznie zaangażowani, że wszyscy mamy wspólną odpowiedzialność za to wszystko. Dla mnie to było szokiem. Dopiero zrozumiałam to, że to jest sposób na życie, jak zobaczyłam, że ci rodzice wspólnie pieką sobie ciasta, potem siedzą, piją kawkę razem, razem się *kusuja*<sup>4</sup> – znowu powtórzę to słowo. Wróciłam tutaj i dopiero to doceniłam. [Agnieszka Nowak]

Inna rzecz, która jest dla nas dziwna, to ich stosunek do alkoholu. Oficjalnie jest prawie że prohibicja, że ten alkohol był sprzedawany w tej sieci monopoli. I takie chodzenie z książeczką, szukanie i zamawianie. Akurat w Oslo nie było problemu, ale w małych miejscowościach trzeba zamówić z katalogu i to dopiero przyjedzie po pewnym czasie. A z drugiej strony legendy o tym jak Norwegowie pływali promami do Kopenhagi tylko po to, żeby się móc napić i przywieźć tani alkohol, a także produkcja bimbrowi norweskiego. Raz zostałem zaproszony przez Norwegów na degustację norweskiego bimbrowi i to było dla mnie dosyć traumatyczne przeżycie, ponieważ piliśmy ten bimbrowi popijając go zimną czarną kawą, gorzką. I ja nigdy w życiu nie miałem takiego kaca jak wtedy. Myślałem, że umrę. I powiedziałem, że nigdy więcej. [Karol Urbański]

Tam z alkoholem jest ciekawa rzecz. Po 20 nie można w sklepie alkoholu kupić, a w weekend do 18. A jak za często kupujesz alkohol, to na ciebie donoszą. I zgłoszą się do ciebie ludzie z Anonimowych Alkoholików, czy coś takiego, żebyś poszedł się leczyć.

Z tej spółki budowlanej kolega, Norweg, już bał się kupować, bo już na niego donosili i często właśnie wysyłał Polaków, żeby Polacy mu kupowali alkohol. Na Polaków to przymykali

---

<sup>4</sup> W języku norweskim słowo *kose seg* oznacza mile spędzenie wolnego czasu, dobrą zabawę. W środowisku polskich emigrantów funkcjonuje spolszczona wersja terminu – „kusować się”.

oko, olewali to. I my właśnie kupowaliśmy mu alkohol, z obawy na to, że znowu go tam będą gdzieś wysyłali, będą go prześwielali. [Tomasz Klosowski]

Czym się różni wesele norweskie od wesela polskiego – przy dzieciach i młodzieży nie podaje się alkoholu. Jest tylko przystawka, danie obiadowe i deser. Później dzieci i młodzież jadą wieczorem do domu i wtedy jest bufet z alkoholami, ale każdy może się napić na własne życzenie. Nikt nikogo nie częstuje, tylko każdy sobie może zafundować drinka czy piwo. Ta uroczystość trwa do drugiej w nocy. Norwegowie poprosili, żeby poczęstunek w nocy przygotowała strona polska, czyli ja z przyjaciółmi. Jak oni zobaczyli, jak przygotowaliśmy poczęstunek po polsku, to ciągle ktoś przychodził i mówił: gratulation, gratulation. Bo oczywiście jak to Polacy, zastaw się i postaw się. Różnego rodzaju przepyszne rzeczy przywiezione z Polski i oczywiście polskie alkohole. Norwegowie po prostu byli zachwyceni. No i z takiej śmiesznej rzeczy powiem to, że widzę, jak Norweg nakłada sobie do jednego talerza zupę pomidorową, w to dwie salatkę, w to wędlinę, na koniec chrzan, zamieszał łyżką a ja mówię do zięcia: „Marek ratuj, bo będzie tragedia, oni powiedzą, że coś koszmarnego przygotowaliśmy”. Ale wyszli i powiedzieli, że to trzeba raczej na raty zjeść. I było bardzo sympatycznie. [Wanda z Ponikwi k. Pułtuska]

Ale nie, ja już zostaję tu [w Polsce – JG]. Oni sami tak mówią: „my was przyjęli, ale zawsze musicie wracać, tam gdzie istniejecie” – I to jest dobre – „Po co u nas będziecie? My jesteśmy tylko humanitarni, taką mamy tradycję”. Możemy czerpać od siebie, wymieniać się tradycjami. Ja uważam jednak, że człowiek powinien żyć tam, gdzie powstał. Ja zawsze myślałem o przyjeździe do Polski. Zawsze wierzyłem w to, że minie komunizm. Nigdy nie byłem i nie będę Norwegiem. Uważam, że wszyscy powinni wracać do swoich korzeni. [Andrzej Dziubek ps. Andrej Nebb]